

markus
zusak

gliniany
most

Przełożyła Anna Studniarek

NASZA KSIĘGARNIA

Tytuł oryginału

Bridge of Clay

Copyright © Markus Zusak, 2018

Jacket design by Isabel Warren-Lynch and Ericka O'Rourke

© Copyright for the Polish edition

by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2019

Tłumaczenie *Anna Studniarek*

Adaptacja okładki *Monika Pietras*

Od autora:

Po angielsku „głina” to *clay* – słowo o dwóch zastosowaniach. Pierwsze to skrócona forma imienia Clayton. Drugie to materiał wydobywany z ziemi, używany w budownictwie, ceramice i rzeźbie.

Oba zastosowania są ważne w *Glinianym moście*: jedno wiąże się z imieniem głównego bohatera, a drugie z naturą gliny jako materiału. Książkę można przeczytać bez tej wiedzy, ale z nią łatwiej zrozumieć Claya – historię jego i mostu.

Z serdecznymi pozdrowieniami i wyrazami szacunku – mz

portret zabójcy z czasów wieku średniego

JEŚLI PRZED POCZĄTKIEM (przynajmniej pisanie) były maszyna do pisania, pies i wąż, to przed samym początkiem – przed jedenastu laty – byli morderca, muł i Clay. Jednak nawet na początku ktoś musi iść pierwszy, a tego dnia mógł to być jedynie Morderca. W końcu to on wprowadził wszystko w ruch i sprawił, że spojrzeliśmy wstecz. A zrobił to poprzez swoje przybycie. Przybył o szóstej.

Był to, co całkiem stosowne, kolejny upalny letni wieczór. Dzień uprażył beton, słońce wciąż wisiało wysoko, zadając ból. Takie solidne gorąco, które można pochwycić, albo też, tak naprawdę, które pochwyciło je g o. W historii wszystkich morderców ten był z pewnością najbardziej żaloszny:

Mierzył metr siedemdziesiąt osiem – przeciętny wzrost.

Ważył siedemdziesiąt pięć kilo – normalna waga.

Ale nie dajcie się zwieść – wewnątrz garnituru był zmarnowany, przygięty, złamany. Wspierał się na powietrzu, jakby czekał, aż go wykończy, ale ono nie zamierzało tego zrobić, nie dziś, bo nagle okazało się, że to nie jest właściwy czas, by mordercy mogli liczyć, że ktoś im wyświadczy przysługę.

Nie, dziś to wyczuwał.

Czuł zapach.

Był nieśmiertelny.

Co dobrze wszystko podsumowywało.

Bo to przecież podobne do Mordercy: być nie do zabicia w tej własnej chwili, kiedy lepiej by było, gdyby padł trupem.

*

Przez bardzo długi czas, co najmniej dziesięć minut, stał więc na początku Archer Street, czując ulgę, że w końcu mu się udało, i przeżalenie, że się tam znalazł. Ulica pozostawała nieporuszona – wietrzyk był duszny, ale swobodny, a dymna woń namacalna. Samochody wyglądały bardziej na zgaszone niż zaparkowane, a linie energetyczne uginały się pod ciężarem niemych, rozpalonych i zaniepokojonych gołębi. Miasto wokół wznosiło się i wołało:

Witaj z powrotem, Morderco.

Głos taki ciepły, obok niego.

Wpadłeś w drobne tarapaty, tak to ujmę... Właściwie drobne tarapaty nie opisują twojej sytuacji – masz koszmarnie problemy.

A on o tym wiedział.

I wkrótce gorąco podeszło bliżej.

Archer Street stanęła na wysokości zadania, niemal zacierała ręce, a Morderca prawie stanął w ogniu. Czuł, jak wzrasta, gdzieś w głębi jego marynarki, a wraz z nim przyszło pytanie:

Czy mógł pójść dalej i zakończyć początek?

Czy naprawdę mógł doprowadzić to do końca?

Przez jedną ostatnią chwilę pozwolił sobie na luksus – dreszczyk bezruchu – po czym przełknął ślinę, rozmasował czaszkę porośniętą krzaczastymi włosami, podjął ponurą decyzję i ruszył pod numer osiemnasty.

Mężczyzna w płonącym garniturze.

Oczywiście, szedł tego dnia do pięciu braci.

Do nas, chłopaków Dunbarów.

Od najstarszego do najmłodszego:

Do mnie, Rory'ego, Henry'ego, Claytona, Thomasa.

Mieliśmy się zmienić na zawsze.

Jeśli mam być szczerzy, on też – a żeby dać wam przedsmak tego, w co wkraczał Morderca, powinienem powiedzieć wam, jacy byliśmy:

Wielu uważało nas za narwańców.

Barbarzyńców.

Przeważnie mieli rację:

Nasza matka nie żyła.

Ojciec uciekł.

Przeklinaliśmy jak łobuzy, walczyliśmy jak zawodnicy i dawaliśmy sobie łupnia w bilard, tenisa stołowego (zawsze na stołach z trzeciej czy czwartej ręki, często ustawionych na nierównej trawie na podwórku), Monopoly, strzałki, karty, w cokolwiek, na czym udało się nam położyć ręce.

Mieliśmy pianino, na którym nie grał nikt.

Telewizor odsiadywał dożywocie.

Kanapa dwadzieścia lat.

Czasami, kiedy dzwonił telefon, jeden z nas wychodził, biegł wzdłuż werandy i wpadał przez sąsiednie drzwi – to była tylko stara pani Chilman, która kupiła nową butelkę sosu pomidorowego i nie mogła otworzyć tego cholerstwa. Później ten ktoś wracał, pozwalał, by frontowe drzwi trzasnęły i życie płynęło dalej.

Tak, dla naszej piątki życie zawsze trwało:

Wiecznie toczyliśmy między sobą boje, szczególnie jeśli wszystko szło zupełnie dobrze albo zupełnie źle. Jak wtedy, kiedy wychodziliśmy na Archer Street późnym popołudniem. Szliśmy na miasto. Bloki, ulice. Drzewa wyglądające na zmartwione. Łowiliśmy głośne rozmowy wyrzucane z pubów, domów i bloków, tacy pewni, że to nasze miejsce. Jakbyśmy spodziewali się, że zbierzemy wszystko i zaniesiemy pod pachami do domu. Nieważne, że następnego dnia budziliśmy się i odkrywaliśmy, że odeszło i wyrwało się na wolność – wszystkie te budynki i jasne światła.

A, i jeszcze jedno.

Pewnie najważniejsze.

Byliśmy jedynymi wśród znanych nam ludzi, którzy pośród niedużej gromadki dysfunkcyjnych zwierząt domowych posiadali muła.

A cóż z niego był za muł.

Wspomniane zwierzę miało na imię Achilles, a historia o tym, jak wylądował na naszym podmiejskim podwórku w jednej z dzielnic wyścigów, była bardzo długa. Trzeba by opowiedzieć o porzuconych stajniach i torze do ćwiczeń za naszym domem, przestarzałym rozporządzeniu władz lokalnych i smutnym starym tłusciuchu, który

robił błędy ortograficzne. Ale także o naszej nieżyjącej matce, nieobecnym ojcu i najmłodszym, Tommym Dunbarze.

Kiedy do tego doszło, nie wszyscy w domu mieli okazję wyrazić swoje zdanie, jednak przybycie muła wywołało kontrowersje. Po co najmniej jednej zajadłej kłótni z Rorym...

„Ej, Tommy, co się tu dzieje?”

„Co?”

„Co co, jaja sobie ze mnie robisz? Na podwórku jest osioł!”

„To nie osioł, tylko muł”.

„A co to za różnica?”

„Osioł to osioł, a muł to krzyżówka między...”

„Nie obchodzi mnie, czy to quarter horse skrzyżowany z cholernym kucem szetlandzkim! Co on robi pod suszarką na pranie?”

„Je trawę”.

„To widzę!”)

...jakimś sposobem go zatrzymaliśmy.

Albo, co bliższe prawdzie, muł został.

Jak to było z większością zwierząt Tommy'ego, Achilles sprawiał pewne problemy. Przede wszystkim muł miał ambicje. Ponieważ moskitiera na tylnym wejściu rozleciała się, bywało, że wchodził do domu, gdy drzwi były uchylone, nie mówiąc już o wypadkach, gdy były szeroko otwarte. Zdarzało się to co najmniej raz w tygodniu i co najmniej raz w tygodniu puszczały mi nerwy. Brzmiało to mniej więcej:

„Je-ezu Ch r y s t e!” W tamtych czasach jako bluźnierca nie hamowałem się i słyłem z rozdzielania „Jezu” i stawiania akcentu na „Chryste”. „Skurczybyki, mówiłem wam raz, mówiłem wam przeklęte sto razy! Zamykajcie tylne drzwi!”.

I tak dalej.

I tak wracamy znów do Mordercy i skąd on mógł w ogóle wiedzieć?

Mógł się domyślać, że kiedy dotrze do domu, może nie zastać żadnego z nas. Mógł wiedzieć, że będzie musiał zdecydować, czy użyć starego klucza, czy zaczekać na werandzie – by zadać jedno pytanie, by złożyć propozycję.

Spodziewał się ludzkich drwin, może nawet się o nie prosił, jasne.

Ale niczego takiego.

Co za atak:

Bolesny mały domek, napór ciszy.

I ten włamywacz, ten kieszonkowiec, ten muł.

Około kwadransa po szóstej szedł krok w krok z Archer Street, a zwierzę juczne zamrugało.

I tak to było.

Pierwsza para oczu, którą Morderca napotkał wewnątrz, należała do Achillesa, a z Achillem nie było żartów. Achilles stał w kuchni, kilka kroków od tylnego wejścia, przed lodówką, z typową dla siebie miną „i na co się, do cholery, gapisz” na długim, krzywym pysku. Miał rozszerzone chrapy i leniwie przeżuwał. Nonszalancki. Panujący nad sytuacją. Jeśli pilnował piwa, robił to cholernie dobrze.

I co?

W tym momencie mówił tylko Achilles.

Najpierw to miasto, później ten muł.

Co w teorii miało przynajmniej ślad sensu. Jeśli jakiś przedstawiciel koniowatych mógł się pojawić gdzieś w tym mieście, to właśnie tutaj. Stajnie, tor do ćwiczeń, odległe odgłosy wyścigów.

Ale muł?

Szok był nie do opisania, a otoczenie z pewnością nie pomagało. Ta kuchnia miała własną topografię i klimat.

Zachmurzone ściany.

Spieczona podłoga.

Linia brzegowa brudnych naczyń rozciągająca się w stronę zlewu.

I gorąco, gorąco.

Nawet czujna wojowniczość muła została stępiona na chwilę przez ten straszliwy, ciężki upał. W środku był gorszy niż na zewnątrz, a takiego osiągnięcia nie należy lekceważyć.

Mimo to Achilles wkrótce wrócił do swojego zadania, a może to Morderca miał halucynacje z odwodnienia? Spośród wszystkich kuchni na całym świecie znalazł się w tej. Przez chwilę rozważał wbicie kostek palców w oczy, by pozbyć się wizji, ale się powstrzymał.

To była prawda.

MIASTA

Był pewien, że to zwierzę – ten szary, łaciaty, rudy, jasnobrązowy, wyluzowany skurczybyk z rozczochraną grzywą, szerokimi oczami i grubymi chrapami – stał niezłomnie na popękanej podłodze, zwycięski, i dawał do zrozumienia, w sposób absolutnie jasny:

Morderca najpewniej powinien zrobić niejedno, ale nigdy, pod żadnym pozorem, nie powinien wracać do domu.

rozgrzewka sposobem Claya

PO DRUGIEJ STRONIE MIASTA, w czasie, gdy Morderca spotkał muła, Clay się rozgrzewał. Prawdę mówiąc, Clay zawsze się rozgrzewał. W tej chwili przebywał w starym bloku mieszkalnym, u stóp miał schody, na plecach chłopca, a w piersi burzową chmurę. Jego krótkie ciemne włosy przylegały do głowy, a w każdym oku płonął ogień.

Obok niego, po prawej, biegł inny chłopiec – jasnowłosy, o rok starszy – z trudem dotrzymywał mu kroku, ale i tak na niego naciskał. Po lewej truchtała border collie, co oznacza, że byli tam Henry i Clay, Tommy i Eos, robiący to, co zawsze:

Jeden z nich gadał.

Jeden z nich ćwiczył.

Jeden z nich trzymał się z całych sił.

Nawet suczka dawała z siebie wszystko.

Żeby trenować w ten sposób, załatwili klucz, zapłacili znajomemu – gwarantował wejście do budynku. Dziesięć dolarów za faszеровaną bryłę betonu. Nieźle. Biegli.

– Ty żałosna kupo – powiedział Henry (zarabiający pieniądze, ten przyjazny) do Claya. Próbując dotrzymać kroku, sadził długie susy i się śmiał. Uśmiech spłynął gwałtownie z jego twarzy; złapał go w dłoń. W takich chwilach porozumiewał się z Clayem wypróbowanymi obelgami. – Jesteś niczym. Jesteś miękkki. – Wszystko go bolało, ale musiał mówić dalej. – Jesteś miękkki jak jajko po dwóch minutach gotowania, chłopcze. Niedobrze mi się robi, kiedy patrzę, jak tak biegniesz.

Niedługo później stało się zadość kolejnej tradycji.

Tommy, najmłodszy, zbieracz zwierząt, zgubił jeden z butów.

– Cholera, Tommy, chyba ci mówiłem, że masz je mocniej wiązać. Dalej, Clay, jesteś słaby, jesteś żalosny. Może byś się tak postarał, do cholery?

Dotarli na piąte piętro, Clay zsunął Tommy'ego na bok i rzucił się na usta po prawej. Wylądowali na zatęchłych płytkach, Clay uśmiechnął się lekko, dwaj pozostali się roześmiali i otrząsnęli z potu. Podczas szarpaniny Clay zacisnął ramię wokół szyi Henry'ego. Podniósł go i przeciągnął dookoła.

– Naprawdę powinienes wziąć prysznic, stary. – Cały Henry. Zawsze powtarzaliśmy, że żeby załatwić Henry'ego, musielibyśmy dwa razy przywalić mu w usta. – To szokujące, serio.

Czuł ściętno w ramieniu Claya, które zaciskało się wokół jego szyi.

Żeby im przerwać, Tommy, dokładnie trzynastoletni, skoczył z biegu i całą trójką polecili w dół – ramiona i nogi, chłopcy i podłoga. Wokół nich Eos podskakiwała i lądowała – miała uniesiony ogon i ciało pochylone do przodu. Czarne nogi. Białe łapy. Zawarczała, ale oni wciąż się bili.

Kiedy było po wszystkim, położyli się na plecach – niedaleko okna, na najwyższym piętrze klatki schodowej, w brudnym świetle. Powietrze było ciężkie. Całe tony, wypadające z ich płuc. Henry połykał je łapczywie, ale jego usta ukazywały prawdziwe serce.

– Tommy, ty mały skurczybyku. – Popatrzył z uśmiechem w jego stronę. – Chyba właśnie uratowałeś mi życie.

– Dzięki.

– Nie, to ja dziękuję t o b i e. – I wskazał na Claya, który już podniósł się na łokciu. Drugą rękę trzymał w kieszeni. – Nie rozumiem, czemu wytrzymujemy z tym szaleńcem.

– Ja też nie.

Ale rozumieli.

Po pierwsze, był Dunbarem, a w przypadku Claya lepiej o tym wiedzieć.

Ale o co tak naprawdę chodziło?

Co należało wiedzieć, kiedy chodziło o Claytona, naszego brata?

Pytania ciągnęły się za nim od lat, na przykład dlaczego się uśmiechał, ale nigdy nie śmiał?

Dlaczego walczył, ale nigdy nie zwyciężał?

Dlaczego tak bardzo喜欢owało mu się na dachu?

Dlaczego nie biegał dla satysfakcji, lecz dla niewygody – żeby przejść przez bramę bólu i cierpienia, i zawsze to znosił?

Jednak żadne z tych pytań nie było jego ulubionym.

To była jedynie rozgrzewka.

Nic więcej.

Przez jakiś czas leżeli na plecach, a później powtórzyli to jeszcze trzy razy. Eos zabrała po drodze zgubiony but.

– Ej, Tommy.

– Aha?

– Następnym razem zawiąż je mocniej.

– Jasne, Henry.

– Podwójne kokardki albo ci dowalę.

– W porządku, Henry.

Na dole poklepał go po ramieniu – sygnał, żeby znów wspiął się na plecy Claya – wbiegli po schodach i zjechali windą. (Oszustwo w oczach niektórych, ale w rzeczywistości utrudnienie, bo skracало czas na odzyskanie sił). Po ostatniej wspinaczce Henry, Tommy i Eos zjechali jeszcze raz na dół, ale Clay zszedł po schodach. Na zewnątrz podeszli do żelaznej bryły samochodu Henry'ego i przerobili cały program obowiązkowy:

– Eos, wynocha z przedniego siedzenia. – Siedziała za kierownicą, jej uszy wyglądały jak doskonale trójkąty. Wydawała się gotowa do włączenia radia. – Dalej, Tommy, zabieraj ją stamtąd, zrób nam tę przysługę.

– Mała, przestań się bawić.

Henry schował rękę do kieszeni.

Garść monet.

– Clay, masz, zobaczymy się na miejscu.

Dwaj chłopcy jechali, jeden biegł.

Przez okno:

– Ej, Clay!

Biegł dalej. Nie odwrócił się, ale słyszał. To samo, za każdym razem.

– Kup stokrotki, jeśli ci się uda, jej ulubione, pamiętasz?

Jakby nie wiedział.

Samochód wyjechał, mrugając kierunkowskazem.

– I nie daj się oszukać!

Clay pobiegł szybciej.

Wbiegł na wzgórze.

Na początku to ja z nim trenowałem, dopiero później Rory. A jeśli ja robiłem to ze staromodną głupawą uczciwością, Rory go męczył, ale nigdy nie zламаł. Co się tyczy Henry'ego, miał swoją wizję – robił to dla pieniędzy, ale również dlatego, że to kochał, co zobaczymy już wkrótce.

Od samego początku sprawa była prosta, a jednak oszałamiająca.

Mogliśmy mu mówić, co miał robić.

On to robił.

Mogliśmy go dręczyć.

On to znosił.

Henry mógł wykopać go z samochodu, bo zobaczył paru kumpli idących do domu w deszczu, a Clay wysiadał i ruszał biegiem. Później, kiedy przejeżdżali obok, krzycząc przez okno: „Przestań się ociągać!”, biegł szybciej. Tommy, który czuł się winny jak jasna cholera, wyglądał przez tylną szybę, a Clay patrzył, aż samochód zniknął z oczu. Widział, jak źle ostrzyżona głowa staje się coraz mniejsza i mniejsza, a było to tak:

Mogło się wydawać, że go trenujemy.

Ale tak naprawdę nawet się do tego nie zbliżyliśmy.

W miarę upływu czasu słowa znaczyły coraz mniej, a metody coraz więcej. Wszyscy wiedzieliśmy, czego chciał, ale nie co zamierzał z tym zrobić.

Do czego, do diabła, przygotowywał się Clay Dunbar?

O szóstej trzydzieści, z tulipanami u stóp, pochylił się w stronę ogrodu cmentarza. To miejsce było przyjemne, wysoko, Clay je lubił. Patrzył na słońce, pasące się wśród drapaczy chmur.

Miasta.

To miasto.

Na dole ruch uliczny zaganiano do domów. Światła się zmieniały. Przybył Morderca.

– Przepraszam?

Nic. Mocniej zacisnął ręce na parkanie.

– Młody człowieku?

Odwrócił się i zobaczył starą kobietę, która pokazywała coś palcem i ssła wargi. Musiały być smaczne.

– Miałbyś coś przeciwko? – Miała bezkształtne oczy, zmęczoną sukienkę i pończochy. Upał nic dla niej nie znaczył. – Miałbyś coś przeciwko, gdybym poprosiła o jeden z tych kwiatów?

Clay spojrział w głęboką zmarszczkę nad jej oczami. Podał jej jeden z tulipanów.

– Dziękuję, dziękuję, młody człowieku. Dla mojego Williama.

Chłopak skinął głową i przeszedł za nią przez otwartą bramę, odszukał drogę wśród grobów. Kiedy dotarł na miejsce kucnął wstał założył ręce na piersi stanął twarzą do wieczornego słońca. Nie wiedział, ile czasu minęło, nim Henry i Tommy znaleźli się po obu stronach, i pies, z językiem wywieszonym nad epitafiami. Chłopcy stali, niedbale, a jednak sztywno, z rękami w kieszeniach. Gdyby suczka miała kieszenie, z całą pewnością też trzymałaby w nich łapy. Następnie skupili uwagę na pomniku i kwiatach, które wędły w oczach.

– Nie było stokrotek?

Clay popatrzył w jego stronę.

Henry wzruszył ramionami.

– W porządku. Tommy?

– Co?

– Podaj mu, to jego kolej.

Clay wyciągnął rękę. Wiedział, co robić.

Wziął środek czyszczący i popryskał nim metalową płytę. Następnie rękawem szarego podkoszulka starannie przetrął pomnik.

– Kawalek ominałeś.

– Gdzie?

– Ślepy jesteś, Tommy, tam, w rogu, p a t r z, oczu nie masz?

Słyszac to, Clay okrężnymi ruchami przetarł całość. Teraz rękaw był czarny – brudne usta miasta. Wszyscy trzech mieli na sobie koszulki bez rękawów i stare szorty. Wszyscy trzech zacisnęli zęby. Henry mrugnął do Tommy'ego.

– Dobra robota, Clay. Czas iść, co? Nie chcemy się spóźnić na główny punkt programu.

Tommy i pies ruszyli się jako pierwsi, jak zawsze.

Później Clay.

Kiedy do nich dołączył, Henry stwierdził:

– Tam dobrzy sąsiedzi, gdzie dobre cmentarze. – Naprawdę, miał mnóstwo tego towaru.

– Nienawidzę tu przychodzić, wiecie o tym, prawda? – powiedział Tommy.

A Clay?

Clay – cichy, uśmiechnięty – jedynie się odwrócił, po raz ostatni, i wpatrzył w skąpaną w słonecznym blasku dzielnicę rzeźb, krzyży i kamieni nagrobnych.

Wyglądały jak puchary dla zdobywców drugiego miejsca.

Co do jednego.

barbarzyńcy

NA ARCHER STREET NUMER 18 w kuchni doszło do pata.

Morderca wycofał się powoli, w głąb domu. Cisza była niesamowita – ogromny plac zabaw, na którym poczucie winy mogło wywołać spustoszenie, skatować go – ale też zwodnicza. Lodówka brzęczała, muł oddychał, a w środku były też inne zwierzęta. Teraz, kiedy wycofał się do przedpokoju, wyczuwał ruch. Czy zwęszyły Mordercę i polowały na niego?

Mało prawdopodobne.

Nie, zwierzęta w najmniejszym stopniu nie stanowiły zagrożenia – najbardziej bał się dwóch najstarszych z nas.

Ja byłem tym odpowiedzialnym:

Wieloletni żywiciel rodziny.

Rory był tym niepokonanym:

Ludzka kula u nogi.

Okolo szóstej trzydzieści Rory stał po drugiej stronie ulicy, opierał się o słup telefoniczny, uśmiechał cierpko i tęsknie, uśmiechał tylko dla żartu. Świat był brudny i on też. Po krótkich poszukiwaniach wyjął z ust długi kosmyk dziewczęcych włosów. Kimkolwiek była, była gdzieś tam i leżała z rozłożonymi nogami w głowie Rory'ego. Dziewczyna, której nigdy nie poznamy ani nie zobaczymy.

Przed chwilą wpadł na dziewczynę, którą znaliśmy, dziewczynę imieniem Carey Novac. Zdarzyło się to tuż za jej podjazdem.

Pachniała jak koń i zawołała: „Cześć”.

Zeskoczyła ze starego roweru.

Miała zielone oczy i kasztanowe włosy – całymi milami opadały jej na plecy – i prosiła go o przekazanie wiadomości Clayowi. Chodziło o książkę, jedną z trzech ważnych w tym wszystkim.

– Powiedz mu, że wciąż uwielbiam Buonarrotiego, dobra?

Rory był zaskoczony, ale się nie poruszył. Jedynie jego usta.

– Borna... kogo?

Dziewczyna śmiała się, idąc do garażu.

– Po prostu mu powiedz, dobra? – Później jednak się zlitowała, odchyliła do tyłu, cała piegowata i pewna siebie. Miała w sobie pewną szczodrość gorąca, potu i życia. – No wiesz... Michała Anioła?

– Co takiego?

Teraz czuł się jeszcze bardziej zdezorientowany. Dziewczyna jest świrnięta, pomyślał. Urocza, ale całkiem świrnięta. Kogo obchodzi Michał Anioł?

A jednak ta myśl pozostała.

Odnalazł słup, przez chwilę opierał się o niego, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy do domu. Rory był trochę głodny.

Jeśli chodzi o mnie, tkwiłem tam, uwięziony w korku.

Dookoła, przede mną i za mną tysiące samochodów stały w szeregach, kierując się w stronę domów. Fala gorąca wpadała przez okno mojego kombi (które wciąż do mnie należy), a na zewnątrz ciągnął się niekończący pochód billboardów, witryn sklepowych i ludzi. Z każdym ruchem miasto wdzierało się do środka, ale pozostała też charakterystyczna woń drewna, wełny i lakieru.

Wystawiłem przedramię przez okno samochodu.

Ciało miałem jak kłoda.

Moje ręce lepiły się od kleju i terpentyny i marzyłem jedynie o powrocie do domu. Mógłbym wziąć prysznic, zorganizować kolację i może poczytać albo obejrzeć stary film.

Nie prosiłem o wiele, prawda?

Wrócić do domu i odpocząć?

Żadnych, cholera, szans.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24 c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa
tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl
www.nk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Ecco-Book Cream 70 g/m² wol. 2,0.*

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Redakcja *Magdalena Adamska*
Korekta *Magdalena Szroeder, Roma Sachnowska*
Opracowanie DTP, korekta techniczna
Joanna Piotrowska

ISBN 978-83-10-13438-7

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2019 r.
Wydanie pierwsze
Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków